Łukasz Czeszumski

RIO, NOC

Fragment

ZMROK

W faweli Himalaia rozpoczynał się właśnie pracowity wieczór. Jak co weekend *boca de fumo* przypominało gwarne targowisko. Trafikantów było około pięćdziesięciu. Jedni ze znudzonymi minami stali z karabinami w miejscach wyznaczających perymetr ochrony. Inni znajdowali się przy stołach, wypełniając je asortymentem – stosami fiolek kokainy, woreczków marihuany, buteleczek lolo. Obok pracownicy odcinali ostrymi nożami płaty „trawki" z bloków, niczym kromki z twardego razowca, a ich koledzy rozdrabniali te kromki uderzeniami ostrz i młotków, a potem pakowali do woreczków na oko, nawet ich nie ważąc. Praca wrzała, pierwsi klienci już za chwilę mieli pojawić się przy stołach, z błyszczącymi oczyma i zwitkami pieniędzy ściskanymi w spoconych dłoniach.

Czarny, niepozorny samochód sunął ulicami luksusowej dzielnicy Barra da Tijuca. Za kierownicą siedział samotny mężczyzna. Na oparciu fotela pasażera, od tyłu, wisiał wojskowy karabinek z nakręconym na koniec lufy grubym, kanciastym tłumikiem. Lufa niemal dotykała prawej, tylnej szyby. Dzięki temu, że szyba była przyciemniona, broń pozostawała niewidoczna nawet, gdyby ktoś podszedł blisko do drzwi i zajrzał do środka.

Samochód, którym jechał mężczyzna, był klonem innego samochodu, który poruszał się po tym mieście, a który należał do pewnego spokojnego obywatela, który nawet w snach nie wyobraziłby

sobie, że jego samochód ma swoją idealną kopię, która służy mrocznym, nielegalnym sprawkom.

Mężczyzna za kierownicą miał miłą twarz. Mało kto, patrząc na niego, mógłby pomyśleć, że ma do czynienia z jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi w tym kraju. Z człowiekiem, który poświęcił tysiące godzin na doskonalenie się w sztuce zabijania.

Tej nocy więc ktoś miał umrzeć. Nikt poza zleceniodawcą oraz tym cichym i skoncentrowanym mężczyzną w czarnym samochodzie nie wiedział jednak jeszcze, kto to będzie.

Tej nocy nie miał być tą ofiarą stary Vanderley, choć on sam wcale nie był tego pewien. Nie było bowiem takiego dnia ani nocy, kiedy siwobrody Vanderley nie obawiał się, że właśnie dziś jego życie się zakończy. I choć każdy, kto go znał, określiłby go co najmniej jako człowieka wyjątkowo odważnego, on sam nie chciał o odwadze słyszeć ani się do niej przyznawać. To żadna odwaga robić swoje, mawiał. Za to jest życiem ciężkim i ohydnym czuć przez cały czas strach i niepewność. Że pojawi się samochód albo jakiś człowiek, albo nawet kilku ludzi, a potem zobaczy się lufę broni i krótki błysk i nawet nie zdąży się usłyszeć huku, bo już człowieka nie będzie na tym świecie. Straszny to moment i Vanderley, myśląc o nim, zaciskał szczęki i czuł ucisk w skroniach, jakby jakieś potężne imadło się na nich zakleszczało.

Tej nocy Vanderley już wiedział, co się stało. I teraz szedł najszybciej jak potrafił na przystanek autobusowy, trwożliwie

rozglądając się wokół. Na ramieniu niósł torbę podróżną z całym swoim skromnym dobytkiem. I uwierzyć nie mógł, że znowu śmierć rozminęła się z nim o włos.

A na uliczkach imprezowej Lapy było wesoło. Niosły się w dal rytmy samby, od których nogi same rwały się do tańca. Ludzie śmiali się, pili i powtarzali słowa wykonawcy. On sam, podrygując na scenie z mikrofonem w ręku, rozkręcał imprezę swoimi gestami i rozbujanym krokiem, śpiewem i okrzykami. Niektórzy przechodnie, zwabieni w ten zakątek odgłosami muzyki, zbliżali się nieśmiało, wytrzeszczając oczy na *sambistę*, wykonawcę samby, a potem ochoczo dołączali do imprezy. Nie mogli uwierzyć, że to on. Ikona samby, wiekowy Noca z Portelli, żyjąca legenda. W powietrzu czuć było niezwykłą atmosferę i doniosłość. Z zachwytem patrzyli ludzie na rozśpiewanego i roześmianego Nocę, człowieka, który w prostych i krótkich słowach uczył każdego, jak należy żyć i o co w tym życiu chodzi. I ruszali zaraz do tańca, a radość życia kierowała ich ruchami.

Dwadzieścia kilometrów na północ, na placu Chapadão, otoczonym trzynastoma fawelami budzącymi grozę całego miasta, też trwała zabawa. Przy jej skali koncert na Lapie wydawał się skromną potańcówką. Tysięczne tłumy falowały pod sceną, w górę wznosiły się lufy karabinów, a głos didżeja niósł się na całą okolicę w tle mechanicznego rytmu.

„Niech się zjawi jakaś pała, zaraz zarobi parę kul!” – Słowa wykonawcy niosły się pod sklepienie nieba, wprawiając tłum w ekstazę. Koncert przypominał coś w rodzaju pirackiego festiwalu, bandyckiego karnawału. W tym miejscu bawili się ci, na których zwykłe życie nie robiło wrażenia. Miłośnicy broni, narkotyków, łatwego seksu i najsilniejszych emocji. Kupujący narkotyki na uliczkach, paradujący z bronią, wznoszący jedną ręką karabiny w niebo, a drugą tulący dziewczyny w krótkich spódniczkach.

„Jebać batalion!” – Palce naciskały na spusty, kanonada zagłuszyła muzykę, wywołując powszechny entuzjazm i szaleńczą, alkoholowo-narkotykowo-festiwalową euforię.

Nie u wszystkich jednak. Kilkaset metrów dalej, za grubym betonowym murem, kilka osób słuchało słów wykonawcy i patrzyło po sobie, a ich miny krzywiły się w zgodnej nienawiści.

We wnętrzu apartamentu w dzielnicy bogaczy – Barra da Tijuca stało naprzeciw siebie dwóch młodych mężczyzn, Zadbany i Niezadbany. Zadbany wyglądał jak prawnik – porządna koszula, krawat, modna fryzura. Ani jego mowa ciała, ani wygląd nie zdradzały, że wykonuje zupełnie inny zawód. Rozglądał się dookoła, niezadowolony z tego, co widział. Bo i rzeczywiście, mieszkanie wyglądało niczym chlew. Śmierdziało, kuchnia była pełna brudnych naczyń i poniewierających się resztek jedzenia, sypialnia przypominała barłóg. Zupełnie nie przystawało to do tej okolicy i panujących tu wysokich standardów.

Zaniedbany, właściciel mieszkania i sprawca tego bałaganu, wyglądał jak siedem nieszczęść. Jego markowe ubranie było wygniecione i cuchnące, jakby nie zdejmował go od wielu dni. On sam miał podkrążone oczy o szklanym, nieobecnym spojrzeniu, trząsł się, ledwie trzymał się na nogach. Tłumaczył coś bełkotliwym głosem, żywo gestykulując. Na to Zadbany przerwał przemowę, kładąc mu dłoń na ramieniu. Spokojnie i długo coś tłumaczył. Zaniedbany odpowiedział mu z gniewem. Wtedy Zadbany pokiwał głową, powiedział spokojnie kilka zdań, po czym wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Zaniedbany, który został w środku, wykrzyczał coś z wściekłością, poprzeklinał, uderzył pięścią w ścianę. A potem usiadł przy stole i zaczął klikać w ekran smartfonu, gorączkowo czegoś szukając.

W mieszkaniu w Niterói Vanessa leżała w łóżku. Dzisiejsza męczarnia trwała już od wielu godzin. Przewracała się z boku na bok, skręcała z wewnętrznego bólu, łkała bezgłośnie, a potem wyła, wgryzając zęby w poduszkę.

Wspomnienia biły w nią niczym ciosy. Czuła, jakby ściany sypialni miażdżyły ją między sobą, sufit zwalał się na głowę, świat rozpadał się na kawałki z ogłuszającym grzmotem. I znowu, i znowu, falami raz za razem.

Z trudem usiadła i zapaliła nocną lampkę. Drżącymi dłońmi wycisnęła tabletkę z blistra, włożyła do ust, połknęła. Bez tego nie da rady. Łkając i zagryzając usta, padła znowu na pościel, zacisnęła

powieki. Sen w końcu przyszedł, gęsty i mocny. Odpłynęła w grobową ciemność.

Minęły całe lata od jednej nocy w pewnym niepozornym klubie w Niterói, dokąd poszła ona, pewna siebie prawniczka, na spotkanie z przyjacielem i niedoszłym kochankiem, a z którego wyszła, kilka godzin później, słaniając się na nogach, w podartym ubraniu, oszołomiona i zakrwawiona, jako kobieta zombie, wrak człowieka, cień samej siebie. Gdyby kiedyś ktoś jej powiedział, że można tak skutecznie zniszczyć człowieka w ciągu kilku godzin, prychnęłaby tylko i go wyśmiała. Teraz już wiedziała.

Valmir siedział przy stole, czytając książkę w grubej oprawie. Za oknem domu szumiały fale rozbijające się o plażę. Valmir, ten spokojny i pogodny mężczyzna o bardzo niespokojnej i miejscami przerażającej życiowej karierze, najlepiej relaksował się właśnie tu i w ten sposób – słuchając szumu fal i czytając dzieła starożytnych greckich filozofów. To wyzwalało go z czarnych myśli, ze strasznych wspomnień, było ucieczką od okrutnej rzeczywistości. Dawało nadzieję na to, że uda się odnaleźć wewnętrzną równowagę mimo tego wszystkiego, co widziały jego oczy i z czym nie potrafiło się pogodzić jego sumienie. Pozwalało zapomnieć o Rio – które dla niego nie było pięknym miastem świateł i radości, tylko miejscem najstraszliwszych zbrodni, miejscem, w którym życie ludzkie nie jest nic warte. Jeszcze kilka godzin czytania i pójdzie spać, i zaśnie snem sprawiedliwego, snem pozbawionym snów, głębokim i krzepiącym. Rankiem wstanie wcześnie, tego dnia, który

miał być słoneczny, ciepły, przyjemny. I tego właśnie pięknego dnia, już nazajutrz, w porze popołudniowej, odbierze telefon, który rozpocznie najgorszy koszmar w jego życiu.

W górnej części faweli Vila Cruzeiro o tej porze, tuż przed północą, panowała cisza. Tylko szczury, cicho popiskując, przebiegały pomiędzy krzakami zarastającymi zbocze góry a labiryntem baraków faweli. W tej ciszy dało się słyszeć narastający warkot silnika. Oto krętą ulicą na szczyt dzielnicy wjeżdżał przeciążony motocykl. Prowadził go dobrze zbudowany mężczyzna o dobrodusznej twarzy. Na siodełku za nim siedział pasażer, wyraźnie pijany i senny. Motocykl nieprzerwanie sunął pod górę, pokonując nierówności.

– To tu! – krzyknął pasażer i wskazał palcem.

Zahamowali przy jednym z domów, zsiedli z maszyny. Pożegnali się serdecznie, z poklepywaniem po plecach i ściskaniem dłoni.

– Świetna impreza była!

– Świetna, oby takie częściej!

– No ba, rzadko bywasz, nie powinieneś zapominać o starych kumplach.

– Wiesz jak jest, rodzina. Żona lada dzień wychodzi ze szpitala z dzieciątkiem, matka chora. W pracy huk roboty, a jeszcze uczę się do tych egzaminów.

– Takie życie, grunt, że idziesz do przodu.

– Trzymaj się.

– Trzymaj, do następnego razu!

Nie wiedzieli, że żadnego następnego razu już nie będzie. Tego zresztą nikt nigdy nie jest w stanie przewidzieć. Nieważne, jak by się bał, nieważne, jak by się starał uchronić. Jeśli ciąży nad kimś wyrok przeznaczenia, nie da się go uniknąć.

Podpity, zataczając się, wszedł do swojego domu. Dla niego historia tej nocy miała zakończyć się prysznicem, a potem snem.

Motocyklista wsiadł na siodełko, zawrócił maszynę, puścił hamulec. W ciszy, nie włączając silnika, aby niepotrzebnie nie tracić paliwa, sunął w dół ulicy, do domu, gdzie czekała na niego matka. Już późno, na pewno staruszka się niepokoi. Ale kilka minut jazdy i u niej będzie.

Fragment pobrany ze strony
www.czeszumski.com